

Siedzenie z założonymi rękami. Rozmowa z Peterem Matthiessenem

Piotr Porębski: W latach 50. wydałeś książkę zatytułowaną „Dziki życie w Ameryce”, w której opisałeś gatunki zwierząt wymarłych lub zagrożonych na kontynencie amerykańskim. Co się zmieniło przez ostatnie 40 lat?

Peter Matthiessen¹: „Wildlife in America” ukazała się w 1959 roku. Dwa lata później ukazała się książka Rachel Carson „Silent Spring”. Obie te książki były pionierskie w nowoczesnym ruchu ochrony przyrody i zwróciły uwagę szerokiej opinii publicznej na problemy ekologiczne. Patrząc powierzchownie możemy stwierdzić, że od tego czasu nastąpił duży postęp. Zajęto się ochroną takich gatunków jak orzeł przedni, sokół wędrowny, rybołów i wieloma innymi.

Lecz na głębszym poziomie, patrząc na świat przyrody szerzej, giną całe rodziny ptaków i innych zwierząt. W tym miejscu gdzie siedzimy jeszcze niedawno popularne były gajówki pokrzewki i drozdy. Dzisiaj zanikają. Spośród 26 gatunków pokrzewek żyjących we Wschodnich Stanach, 16 występowało tutaj – jedne liczniej, inne rzadziej. Dzisiaj mogę mówić o szczęściu jeśli zobaczę 6 jakichkolwiek osobników. Nie wszędzie jest tak samo źle, ale tutaj ptaki te zostały niemal całkowicie wytrzebione i faktycznie mogę pokazać tylko dwa osobniki gnieźdzące się koło mojego domu.

Oczyszczono wiele rzek; prądkowane okonie, spisane przed laty na straty, powróciły i możemy mówić o postępie w dziedzinie świadomości ekologicznej ludzi i ilości gatunków będących pod ochroną. Ja sam pracuję obecnie nad książką o tygrysach i żurawiach, podejmuje się wysiłki, by objąć ochroną kolejne gatunki.

Możemy mówić o postępie jeśli chodzi o gatunki, których dramatyczny los zwrócił uwagę milionów ludzi. Odwrotna tendencja dotyczy jednak gatunków mało znanych lub nieznanymi, zamieszkujących lasy deszczowe, dżungle. Giną coraz szybciej setki tysięcy gatunków owadów, wiele słabo poznanych ryb.

Jednym z najbardziej bolesnych doświadczeń jest dla mnie obserwacja, co stało się z naszą popularną ropuchą. Na tarasie, gdzie teraz siedzimy, powinno być na raz 12 czy 15 ropuch. Czy możemy sobie wyobrazić bardziej popularną, pokorną istotę od ropuchy? Wydawało się, że ropuchy będą zawsze. Tymczasem od lat nie widziałem tutaj ropuchy, coraz rzadziej spotykam węże, prawie zupełnie wyginęły. To ogromnie zasmuca.

Naukowcy nie wiedzą co dzieje się z ropuchami i innymi płazami. Znikają wszędzie na świecie z wielu, różnych przyczyn. Są istotami bardzo wrażliwymi, mają porowatą skórę i na ogół nie mogą długo żyć w zasolonej wodzie (dzięki regulacji stężenia soli w płynach ustrojowych ropucha zielona może bez szkody przebywać jakiś czas w wodzie morskiej i potrafi pokonywać kilkunastokilometrowe odległości). Kiedy na oceanie powstaje nowa wyspa, czyli kiedy wybucha wulkan tworząc wyspę, najpierw pojawiają się tam pająki, następnie przylatują ptaki, woda i wiatr nioszą inne gatunki. Płazy nigdy na taką wyspę nie dotrą, gdyż zabija je słona woda. Są również bardzo wrażliwe na promieniowanie; zbyt silne promienie słoneczne spowodowane dziurą ozonową likwidują je. Wszystko to jest bardzo bolesne, podobnie jak stan wód. Kiedy byłem dzieckiem w wodach tych było bogactwo ryb. Trzy mile od brzegu spotykałem wielkie mieczniki, wszędzie widziałem rekiny, wszystkie te gatunki w czasach mojego dzieciństwa były popularne. Dzisiaj wody są zanieczyszczone i tutaj, w Peconic Bay wyginęły już wszystkie małże, ponieważ nie miały czym oddychać.

Wspaniale, że coraz więcej ludzi jest tego świadomych, szczególnie ludzi młodych. Myślę, że zajęcie

się ochroną dzikiej przyrody jest wielkim zajęciem w perspektywie przyszłości. Nie ma drugiego zawodu tak ważnego jak ten. To najważniejsze zajęcie na następne setki lat, a pewnie i dłużej.

Niestety, w naszych zachodnich demokracjach wciąż wybieramy do władz takich samych ludzi, polityków mających ten sam rodzaj mentalności ukształtowanej przez korporacje i popularne myślenie. Chciałbym zacytować Josepha P. Kennedy'ego, ojca znanego prezydenta, biznesmena bardzo zachłannego, który w swoich interesach oszukiwał wszystkich. Cytuje się jego powiedzenie: „Umysł amerykańskiego biznesmena jest dziś najbardziej przecenianym towarem w kraju”. Były to jedyne inteligentne słowa jakie wypowiedział. Kiedy patrzę na to, co robią korporacje i jakie mają prawa, sądzę, że pozbawione są one wszelkiej etyki. Na całym świecie z powodu działalności korporacji umierają ludzie, i nic nie obchodzi to biznesmenów. Wczoraj wieczorem oglądałem w telewizji program „60 minut”. W komunistycznych Chinach działa przedsiębiorstwo produkujące lekarstwa dla dzieci. Żeby zaoszczędzić pieniądze zastąpili oni świadomie glicerynę tańszym składnikiem, za to silnie trującym, choć wyglądającym identycznie. Europejscy dystrybutorzy sprzedawali ten produkt na całym świecie. Sprawa wyszła na jaw. Chińczycy od dwóch lat odmawiają ujawnienia nazwy firmy, która była w to zamieszana. Nie zrobią tego także Amerykanie, ponieważ administracji Clintona zależy na rozwoju handlu z Chinami! A więc zgodzono się, żeby dzieci nadal umierały. Zmarło już 85 dzieci na Haiti, nieznaną ilość w innych krajach i nikt nie wie gdzie pojawiają się kolejne ofiary tej bomby, gdyż nazwa została utajniona.

Biznesowi opłaca się pozwolić ludziom umierać. Producentom papierosów opłaca się uzależniać od nałogu ludzi, szczególnie młodzież. W dawnych czasach takim ludziom obcinano by uszy, żeby przestrzec społeczeństwo z kim ma do czynienia.

To głęboko rani, gdy widzi się kondycję świata i słyszy, że wszystko jest w porządku, że w porządku jest ten wielki biznes światowy. Przywódcami kraju zostają ludzie trzeciorzędni. Dzieje się tak nie tylko w Ameryce, ale na całym świecie. Cechą naszych najnowszych czasów jest, że na szczyty władzy mogą dojść wyłącznie ludzie trzeciorzędni. Ludzie skromni i uczciwi nie chcą podejmować się pracy, która wymaga zaprzędania własnej duszy.

Niewątpliwie, w kilku sprawach uczyniliśmy niewielki postęp w ostatnich 40 latach, ale patrząc całościowo żaden postęp nie nastąpił, a główny proces zmierza w przeciwnym kierunku.

We wszystkich twoich książkach ważną rolę odgrywa świat dzikiej przyrody. Niezależnie od tematu na jaki piszesz zawsze odnosisz się jakoś do natury przejmując się jej kondycją. Wygląda to tak, jakbyś uważał, że czym więcej wiemy o dzikiej przyrodzie, tym więcej wiemy o sobie samych.

Dla mnie pejzaż, w którym oczywiście mieści się całe dzikie życie, to charakter, to coś, co zawsze jest obecne. Krajobraz zawsze stawiam na pierwszym miejscu, gdyż jest on wielką mocą, siłą, o której ani na chwilę nie zapominam. Ona zawsze nam towarzyszy. Kształtuje ludzkie charaktery, prowadzi ich, jest ich korzeniami i w nim się osiedlają. Jest to coś bardzo, bardzo ważnego i nie mógłbym pomyśleć o żadnej książce bez takiego właśnie podejścia.

W swych licznych podróżach jako przyrodnik przebywałeś wśród rdzennych tubylców w różnych częściach świata, mieszkając nawet długo pośród ostatniego plemienia żyjącego w kulturze kamiennej na Nowej Gwinei, na początku lat 60-tych. Znajdowałeś też duchowe inspiracje u Indian amerykańskich i himalajskich Szerpów. Czy jest coś, czego moglibyśmy się uczyć od ich podejścia do przyrody?

Myślę, że wciąż jeszcze są lokalne wspólnoty wiejskie, gdzie ludzie nie są oddzieleni od swojego krajobrazu. My oddzieliliśmy się. Krajobraz, będąc czymś na zewnątrz nas, jest przedmiotem

manipulacji, wszystko chcemy zmieniać. Szokuje to Indian amerykańskich, powiadają: „Dlaczego zawsze chcecie wszystko dookoła zmieniać? Przecież świat jest taki piękny taki, jakie jest!” My tymczasem bezustannie manipulujemy naszym otoczeniem, ciągle chcemy je ulepszyć generalizując – nieustannie je psujemy.

Ludzie, o których pytasz, niezależnie od tego skąd przyszedli i gdzie żyją, wszyscy pochodzą z jednego gniazda. To bardzo ciekawe, ale gdziekolwiek się udasz, spotkasz wiele takich samych, starożytnych sposobów postrzegania świata. Jest dużo podobieństw między Indianami z Ameryki i mieszkańcami Tybetu, a także Afryki. Czytałem o szamanach-tygrysach. Tygrysi szamani żyją w Azji, w Afryce są szamani-lamparty, a w Południowej Ameryce jest tradycja szamanów jaguarów. Przybieranie formy zwierzęcia i podróżowanie nocą w tej postaci pochodzi z bardzo zamierzchłych czasów i było popularne na świecie. Nie znam żadnego regionu gdzie to by nie miało miejsca, dopiero my zatraciliśmy tę tradycję.

Nie chcę jednak upraszczać zagadnienia; ludzie popełniają wielki błąd w swoich poglądach na Indian amerykańskich. Albo traktują ich jako pijaków i degeneratów, albo jako guru ekologicznych. Znam osobiście kilku Indian, którzy zabiliby każdego w zasięgu wzroku, gdyby tylko mogli. Indianie to ludzie, tacy sami jak my. Nie oznacza to jednak, że tradycyjne społeczności w swoich wspólnotach nie posiadają szczególnych sposobów dostrzegania, dotykania i przebywania w swoim środowisku, sposobów, które my zatraciliśmy. Dlatego nasze dzieci tak kochają angażowanie się w tego rodzaju aktywności. Wiedzą, że coś w tym jest; mówi im to ich serce. My też to wiemy, kiedy praktykujemy zen. Nie można tego wyrazić przy pomocy słów, kiedy jednak naprawdę tego doświadczamy, kiedy mamy to poczucie, wówczas ruszamy jego tropem.

Czy dostrzegasz wśród młodego pokolenia rdzennych mieszkańców zainteresowanie dawnymi tradycjami, które utracili?

O tak, jest duże zainteresowanie. Zaczęło się to w owych latach 60-tych, kiedy zaczęto się interesować dawnymi tradycjami, szczególnie młodzież. Co ciekawe, zaczęli rozmawiać ze swoimi dziadkami, nie z rodzicami, bo rodzice, to było właśnie to pokolenie, które wszystko zatraciło. Oni zapłacili za to, że byli Indianami, patrzono na nich z góry, gardzono nimi, a teraz wszyscy z tego pokolenia są chrześcijanami. Nie wiedzą kim są, bo zatracili nie tylko swój język, ale również swoją tradycję. Wielu z nich to mieszańcy, wielu z tych, co żyją w zgodzie ze swoją tradycją to również mieszańcy. Dla Indian amerykańskich nie ma to jednak żadnego znaczenia. Możesz mieć indiańskiego przodka w 124 pokoleniu wstecz i nadal być przez nich postrzegany jako Indianin, jeśli tylko postrzegasz świat w ich tradycyjny sposób. Możesz też mieć czystą krew indiańską, długie włosy, i pióropusz ale to nie wystarczy.

Dalaj Lama powiedział kiedyś: „Nasze problemy potrzebują dalekosiężnych rozwiązań, a takie mogą wypłynąć tylko z umysłu ufnego i nastawionego pozytywnie, nigdy nie zrodzą się z umysłu gniewnego i wypełnionego rozpaczą”. Tymczasem w reakcji obrońców przyrody na obecny kryzys dużo jest zarówno gniewu jak i rozpacz. Niektórzy akceptują nawet użycie siły, stosowanie sabotażu wobec urzędów do eksploatacji lasu, wbijają gwoździe do drzew, by powstrzymać ich wycinanie, ryzykując przy okazji zranienie drwali Czy sądzisz, że akcje wynikające z gniewu mogą przynieść pozytywne rezultaty?

Rozumiem co mówi Jego Świątobliwość i sądzę, że patrząc w dalszej perspektywie jest to prawdą. Ale zaraz przychodzi mi na myśl taka postać jak Cesar Chaves, nasz wielki lider w Kalifornii będący bohaterem jednej z moich książek (Cesar Chaves 1927-1992, założyciel Związku Zawodowego Rolników UFWU, nie ukończył żadnej szkoły, gdyż jego rodzice zmuszani byli przenosić się 70 razy. Jest wymieniany obok Martina Luthera Kinga jako człowiek walczący o sprawiedliwość, do końca życia wyrzekający się przemocy. Matthiessen napisał o nim książkę i pośmiertny artykuł dla „The

New Yorker” – red.). Był on człowiekiem bardzo łagodnym; swoim ochroniarzom zakazał mieć pociski w broni, kiedyś wyraził się: „Nikt nie może być zabity w obronie mojego życia”. Chaves nienawidził przemocy, ale miał w sobie mnóstwo gniewu i nie chciałbym się z nim spotkać w ciemnej ulicy gdy był wściekły w obronie swoich ludzi. Był pasjonatem i ta pasja dawała mu intensywność działań potrafił chodzić od drzwi do drzwi, od domu do domu ze swoim przesłaniem. Wprowadził przemiany w całym stanie, wbrew swojemu własnemu Kościołowi katolickiemu, panującemu wówczas establishmentowi, Reaganowi, Nixonowi – cały ten „gang” miał przeciwko sobie. Nie udałooby się mu niczego osiągnąć gdyby nie gniew, który odczuwał. Podobnie było z Mahatmą Gandhim. Nie był on wcale miłym człowiekiem – był przepełniony gniewem. Obaj mówili o pokoju i dobrze wiedzieli, że przemoc dla nich samych byłaby zabójcza, ale nie znaczy to, że nie odczuwali gniewu, gdyż odczuwali go.

Nie odczuwam tyle gniewu co kiedyś, niemniej gniewają mnie korporacje, gniewa mnie głupota pchająca ludzi do zarabiania większej ilości pieniędzy niż potrzebują, co opłacone jest zawsze cierpieniem, śmiercią, odbieraniem innym szansy na edukację i szansy na życie: Czyż nie jest to skończoną, głęboką głupotą? Za same pensje C.E.O. (Skrót ang: „Chief Executive Officer”. Są to bardzo bogate i raczej nietykalne osoby stojące na czele korporacji, często nieznane społeczeństwu i na ogół nie ponoszące osobistej odpowiedzialności za działalność przedsiębiorstwa. Ze znanych C.E.O. można wymienić Billa Gatesa z Microsoftu i Willima Claya Forda, Jr. z Ford Motor Company – red.) można by zmienić cały system edukacyjny. To przerażające, a więc czuję wzbierający gniew.

Ale co sądzisz o sabotowaniu sprzętu niszczącego ziemię i nabijaniu gwoździami drzew?

Myślę, że wsypanie cukru do gaźnika w takich sytuacjach jest w porządku, nikt z tego powodu nie zginie. Natomiast wbicie do drzewa gwoździ, które mogą później zranić niewinnego drwala jest niewybaczalne. Poza tym jest skierowane ku niewłaściwej osobie. Ten facet po prostu zarabia na chleb. To nie on jest tym gościem na górze, właścicielem jachtu, którego nic nie obchodzi poza zwiększaniem zysku z wszystkiego, z czego się da.

Czy widzisz jakieś podobieństwa między głęboką ekologią a myślą buddyjską?

Myślę, że pokrywają się one jeśli chodzi o ideę Gai – Ziemi postrzeganej jako jeden, żywy organizm a jakiś tam kawałek materii. W praktyce zen mamy do czynienia z czymś w rodzaju przebudzenia się do poczucia jedności, którą nazywamy Jednym Ciałem. A więc mówimy o tym samym nie-oddzieleniu. Jak możemy sobie dobrowolnie uciąć własną rękę? Jak możemy żyć bez matki Ziemi? Nie możemy zniszczyć powietrza, tlenu, wody. Jeśli tak uczynimy zginie. A więc zabijamy samych siebie, zanieczyszczamy odchodami własne gniazdo, a przecież musimy dalej w nim żyć, także nasze dzieci. Im będzie tu jeszcze gorzej; każde następne pokolenie będzie żyło w bardziej zanieczyszczonym środowisku, z mniejszą ilością surowców, mniejszą ilością możliwości, będzie mniej ryb, ptaków, wszystkiego. Mam indiańskiego przyjaciela. Nazywa się Oren Lions i jest wodzem Onondaga, żyjących na północy stanu Nowy Jork, niedaleko od ciebie. Powiedział mi kiedyś: „My myślimy w kategoriach siedmiu pokoleń. Jeśli coś nie jest dobre dla siódmego pokolenia, które nadejdzie, to w ogóle nie jest dobre”. Zdaje się, że my zupełnie straciliśmy sens tych słów. Łupimy i gwałcimy ziemię jakbyśmy w ogóle nie mieli dzieci ani wnuków, jakbyśmy nie mieli żadnego przesłania dla przyszłych pokoleń. Dla Indian jest to najbardziej szokująca rzecz ze wszystkich – to, jak bardzo nie dbamy o przyszłość, myśląc tylko o własnych przyjemnościach i... do diabła z dziećmi, ich problemy rozwiąże technologia. Czy aby na pewno? (Wydaje nam się, że wystarczy posprzątać) Posprzątać możemy zanieczyszczenia, ale nie brak wody.

Nie wierzysz, że technologia nas uratuje, że stosując nowsze technologie zmienimy postępowanie?

Sądę, że technologia może złagodzić upadek. Co do tego nie ma wątpliwości, tak właśnie dzieje się w rolnictwie. Ale jeśli będziemy pompowali wciąż coraz więcej ludzi z ich potrzebami na ograniczoną planetę, musi nastąpić załamanie.

Nie będzie już gdzie pójść. Jest kilka dóbr, które są nieodnawialne, wśród nich woda. Ziemia jest wyposażona w doskonałe instrumenty i systemy do oczyszczania wody, np. oceanu. Kiedy jednak wszystkie one zostaną zanieczyszczone, cóż wtedy się stanie? Przyjrzyj się aktualnej pogodzie. Czy ktokolwiek zdrowy na umyśle może zakwestionować zmiany klimatyczne wynikające z globalnego ocieplenia? Jestem już starym człowiekiem, ale nie pamiętam w swoim życiu bardziej szalonej pogody. Mamy długie okresy suszy, sztormów, huraganów, mamy El Ninio (zjawisko ocieplenia się oceanu powodujące susze i huragany, cyklicznie co siedem lat - red.) i zachwianie klimatu oraz pogody we wszystkich regionach świata. Kosztuje to nas miliardy dolarów, a jednak czy domagamy się zmniejszenia emisji spalin z milionów samochodów? To po prostu boli. Jeśli staniesz na dwie sekundy za tym autem, za jego rurą wydechową i popatrzysz na wydostające się spaliny, możesz przez tę chwilę wyobrazić sobie zatłoczone ulice miast; pomyśl o tej masie paskudztwa, którą pompujemy do nieba. Powiadamy: „Niebo jest wielkie, jutro wiatr przewieje smród”. Ale to nieprawda, wszystko to pozostaje w atmosferze i ją ociepla.

A więc najgorsze dopiero nadejdzie?

Och Boże! Dużo gorsze, przecież to się dopiero zaczęło. Niezależnie od tego co uczynimy teraz i tak sytuacja będzie się bardzo pogarszała. To jednak nie znaczy, że nie mamy, pracować na ile tylko nas stać, tak szybko jak to możliwe, by powstrzymać proces degradacji, by go spowolnić. Będzie bardzo źle, ale byłoby jeszcze gorzej, gdybyśmy nadal siedzieli z założonymi rękami.

Wielu uczniów zen jest zainteresowanych pracą nad sobą i osobistym osiągnięciem na drodze, swoim własnym „zbawieniem”. Jakbyś to skomentował?

Jeśli ktoś się na tym zatrzyma, jest to bardzo niekompletna praktyka buddyjska. Nie możemy takiej osoby nazwać kimś, kto coś osiągnął, nie jest ona Arhatem (doświadczonym adeptem praktyki buddyjskiej - red.)

Nie sądzisz jednak, że sama praktyka zen przyczynia się do ratowania środowiska?

Generalizując można powiedzieć, że praktyka zen pomaga przyrodzie, ale chciałbym widzieć ludzi bardziej aktywnych. Myślę, że możemy równocześnie robić dużo różnych rzeczy, praktykować na macie do medytacji i w codziennym życiu, będąc aktywistą.

Buddyzm szanuje powietrze, ziemię i bierze je w ochronę. Tak więc to „branie w ochronę” musi być bardzo ważną zasadą naszej praktyki. Tak jak chronimy Sanghę (wspólnotę buddyjską - red.), Buddhę i Dharmę (naukę buddyjską - red.), tak samo, teoretycznie, powinniśmy chronić wszystko inne.

Powiedziałeś kiedyś, że „nawet korporacje mogłyby mieć korzyści z przywracania harmonii na świecie”. Czy wierzysz, że tak się stanie?

Mówiąc ironicznie mnóstwo pieniędzy można zarobić na oczyszczaniu i naprawianiu tego, co zniszczyliśmy - to prawda. W niektórych sytuacjach rzeczywiście zamierzamy coś czyścić, ale główny kierunek, w którym idziemy, w którym prowadzi nas administracja zaplątana w nadużycia korporacyjne i biznesowe, zmierza ku masowej śmierci. Prawie zdarzyło się to już w Niemczech. Może się zdarzyć w mieście Meksyk, Dżakarcie, Bangkoku, w każdym z wielkich miast spowitych nieustannie w oparach smogu. Kiedy następuje inwersja w miastach umierają najpierw dzieci i ludzie

starzy. Wówczas zaczyna się o tym mówić i padają głosy, że coś trzeba zrobić. Tak to zwykle wygląda.

Gatunki, które nie potrafiły się dostosować ginęły w procesie ewolucji. Czy sądzisz, że nas też czeka taki los?

Może to nam się przytrafić bardzo łatwo. Ale zawsze miałem wrażenie, że ludzie, szczury, kruki i komary to istoty o wielkich możliwościach adaptacyjnych. Możemy żyć w Arktyce, w tropikach, wśród ogromnych nieczystości, w strasznym brudzie i gnoju, nawet w rurach kanalizacyjnych. Dlatego sądzę, że człowiek przetrwa, pytanie tylko, kto będzie chciał żyć w takim świecie? Ja bym chyba poszedł z rodziną na wydmy i pozwolił, by stało się to, co się ma stać jak najszybciej. Życie w takim świecie byłoby dla mnie okropne.

Co znaczą dla ciebie słowa „dzikie życie”?

Dzikie życie to droga jaką podąża natura, to jej manifestacja. To rośliny, drzewa, chmury. To także my, a przynajmniej byliśmy kiedyś tacy (śmiech).

Jak myślisz, kiedy zgubiliśmy to?

Sądzę, że przede wszystkim podczas rewolucji przemysłowej, a także na skutek rozwoju nauki i technologii. Wszystkie odkrycia pozbawiały nas szacunku do Ziemi i szacunku do tajemnicy. Myślmy, że w ogóle nie ma tajemnic. A jednak jest wiele tajemnic, których w ogóle nie zgłębiliśmy.

Tłumaczenie: Janusz Korbel

Przypisy:

1. Peter Matthiessen jest amerykańskim pisarzem, autorem ponad 20 książek („Śnieżna pantera”, za którą zdobył w 1980 r. najważniejszą z amerykańskich nagród literackich *National Book Award* ukazała się w przekładzie polskim w 1988 r.), przyrodnikiem, podróżnikiem i nauczycielem zen. Urodzony w Nowym Jorku w 1927 roku, studiował w Ameryce i Europie gdzie napisał swoją pierwszą powieść. Po powrocie do Ameryki przez kilka lat pływał po morzu jako rybak. Uczestniczył w licznych wyprawach m.in. w Himalajach, na Alasce, w Afryce, Nowej Gwinei, Syberii.

Najbardziej znane jego książki to, oprócz „Śnieżnej pantery”, *Wildlife in America*, *At Play in the Fields of the Lord*, *Far Tortufa*, *Killing Mister Watson*, *The Tree Where Man Was Bom*, *African Silences*, *Baikal – Sacred Sea of Siberia*.

Wywiad z Peterem Matthiessenem dla „Dzikiego Życia” został przeprowadzony w lipcu 1999 r. w jego domu w Sagaponack, Long Island przez Piotra Porębskiego, bielszczanina, który od wielu lat mieszka w Toronto i jest uczniem Petera Matthiessena.

Sześć owiec mknęło ku skałom, a z góry sunie prosto na nie para wilków, chcąc odciąć ostatnie zwierzę, które ucieka przez pas śniegu ku grani. W ostrym świetle niebieskoszare stworzenie wydaje się zbyt zwinne, żeby dać się złapać, ale pędzące wilki zwiększają szybkość na twardym śniegu. Później sady przez splątane jałowce i strome kamienne zbocze i już się zdaje, że nachur zostanie odcięty i zagnany do podnóża góry, ale w ostatniej chwili umyka im na wąską półkę, gdzie żaden wilk nie może się dostać.

W mroźnym powietrzu cała góra jest napięta; cisza dzwoni w uszach. Baran robi bokami, wilki ciężko dyszą; prócz tego panuje bezruch, jakby układ białych cieni scalał świat. Potem oddycham i góra oddycha, znów wprawiając wszystko w ruch. Wilki przez moment rozglądają się wokół, po czym udają się znów w górę zbcza owym niespiesznym krokiem, którym potrafią przebyć osiemdziesiąt

kilometrów w ciągu jednego dnia. Przyłączają się do nich dwa inne samce ze stada i na wysokim pastwisku jaków cała czwórka zaczyna baraszkować i tarzać się w łajnie.

Noga ześlizguje mi się z wąskiej krawędzi i w tym ułamku sekundy, kiedy igielki strachu przeszywają mi skroń i serce, wieczność krzyżuje się z czasem terażniejszym. Myśli i czyny niczym się nie różnią, a kamień, powietrze, lód, słońce, groza i jaźń stanowią jedno. Prawdziwa radość to wydłużyć ten moment najwyższej świadomości na zwykłe chwile, na każdą minutę doznań, przeżywać je jak sęp lub wilk, które stanowią centrum swego świata, nie odczuwają potrzeby zgłębiania sensu życia. Ktoś kiedyś powiedział, że Bóg daje nam wybór między spokojem a prawdą: nie można mieć obu rzeczy na raz.

Cytaty pochodzą z książki Petera Matthiessena *Śnieżna pantera*, w tłumaczeniu Blanki Kuczborskiej, Czytelnik, Warszawa 1988 r.